

WARTO PRZECZYTAĆ

Nadciąga pokolenie małych tyranów

Süddeutsche Zeitung

Nie chcą się uczyć, mają ataki wściekłości albo oczekują, że będzie się ich obsługiwać. W swojej nowej książce psycholog dziecięca Martina Leibovici-Mühlberger ubolewa, że coraz więcej dzieci cierpi na zaburzenia zachowania.

Jako matka czwórki dzieci, lekarka, psychoterapeutka i psycholog dziecięca Martina Leibovici-Mühlberger z Wiednia ma wiele do czynienia z najmłodszymi. W swojej najnowszej książce "Kiedy mali tyrani dorosną – dlaczego nie możemy liczyć na następne pokolenia" autorka rysuje dość dramatyczny obraz. Według niej dzisiejsze dzieci nie będą w stanie rozwiązać nadchodzących problemów globalnych. Ponieważ rodzice z powodów narcystycznych woleli się z dziećmi kumpłować, zamiast wyznaczać im granice, świat dzieci kręci się wyłącznie wokół nich samych i koniec końców stają się one narcyzami. Terapeutka wyjaśnia w wywiadzie, dlaczego sytuacja napawa ją niepokojem.

Süddeutsche Zeitung: Pani książka brzmi jak dramatyczne wołanie o pomoc.

Martina Leibovici-Mühlberger: Tak jest pomyślana. Jako wołanie dzieci o pomoc, które ja tylko przekazuję dorosłym. Wszystkie te zaburzenia, zachowania tyrańskie przejawiane w dzisiejszych czasach przez wiele dzieci są tak naprawdę prośbą o zapewnienie im lepszych warunków podczas dorastania do dobrego życia. Powinniśmy być silnym pokoleniem i wychować silne pokolenie, a nie tylko takie, które konsumuje.

Dlaczego dzieci zauważają to szybciej niż rodzice?

Ponieważ dzieci są bliżej własnej natury i przeżyć. Wielu rodziców opracowuje skomplikowane koncepcje wychowawcze, które są w stanie także przed samymi sobą logicznie uzasadnić. Jednak dla dzieci oznacza to, w najgłębszym znaczeniu tego słowa, zaburzenia rozwojowe.

Wielu ludzi jest przekonanych, że muszą zaoferować swoim dzieciom wszystko. Czują na sobie ogromną presję. Swobodny rozwój indywidualności także świetnie brzmi. Tyle tylko, że trzeba potrafić wyznaczyć granice tam, gdzie są one potrzebne. Jeżeli dzieci nie znają granic, nie potrafią wykształcić w sobie odpowiedniej koncentracji, nie potrafią kontrolować impulsów ani z wytrwałością dążyć do czegokolwiek. Nie rozumieją, że czasami trzeba się ograniczyć, albo odłożyć na bok własne potrzeby. W efekcie nie umieją w praktyce budować zdrowych relacji i odnaleźć się w społeczności. Tymczasem są to wszystkie kompetencje niezbędne w szkole, a potem w życiu zawodowym, gdzie czeka je ostra rywalizacja. Dlatego nazywam to wszystko kłamstwem wychowawczym.

Czy troszkę Pani nie dramatyzuje?

Nie chcę powiedzieć, że u wszystkich dzieci występują patologie. Nie wszystkie dzieci mają problemy czy choroby psychiczne. Ten odsetek wynosi od 10 do 20 proc. i jest wartością

relatywnie stałą. Niemniej liczba dzieci z zaburzeniami rozwoju dramatycznie rośnie. Istnieje mała świadomość społeczna tego problemu, ponadto bywa on fałszywie interpretowany. Despotyczne dzieci postrzegane bywają często jako dzieci twórcze – w każdym razie przez osoby, które nie muszą mieć z nimi wiele do czynienia.

Czy istnieją konkretne dane obrazujące to zjawisko?

Pedagodzy mówią mi, że przed 30 laty mieli w klasie może troje czy czworo dzieci nieprzystosowanych. Dziś cieszą się, kiedy w klasie mają troje czy czworo dzieci bez takich problemów. Martwią mnie konsekwencje tego stanu rzeczy dla dzieci, ale i dla całego społeczeństwa.

Według Pani książki, jedną z nich będzie to, że dzieci odwrócą się od rodziców. Ale czy dzisiejsi młodzi dorośli nie są raczej niesamodzielnymi?

Dokładnie tu leży problem. Rodzice dają swoim dzieciom wszystko, aż w pewnym momencie nie są już w stanie. Potem, gdy idą na emeryturę i mówią 23-letniemu synowi, że musi stanąć na własnych nogach, ten wręcz przeciwnie – traci grunt pod nogami i naprawdę odbiera to jako podłość ze strony rodziców.

Ponieważ ci wcześniej nie wyznaczyli granic?

Tak, lecz teraz, kiedy syn dorósł, nagle to robią. Niestety on się tego nigdy nie nauczył i nie wie, jak sobie z tym radzić. Psycholodzy mówią o fenomenie "dorosłych jo-jo", czyli ludzi będących dorosłymi tylko warunkowo. Są niezależni, jak długo idzie o ich wolność. Jeśli jednak idzie o strukturę i utrzymanie samego siebie, w dalszym ciągu są zależni od rodziców – ponieważ ta druga strona medalu nie jest już przyjemna, ale wyczerpująca. Jeśli rodzice wyznaczają takim dzieciom granice, wywołuje to frustrację, ponieważ Disneyland, w którym dzieci dorastały, nagle zderza się z rzeczywistością. Obrażają się więc na rodziców.

W efekcie nie będą również troszczyć się o rodziców i system opieki zdrowotnej imploduje.

Dziś już wiemy, że te metody wychowawcze nie funkcjonują. Moje pokolenie było zresztą ostatnim, dla którego zajęcie się niedołączonymi rodzicami było oczywistością. Dla dzisiejszego 35-lataka już nią nie jest. Odbierają to jako nadmierne obciążenie.

Z drugiej strony mamy też coraz więcej dzieci z rozwiedzionych małżeństw. W 1962 roku wskaźnik rozwodów wynosił około 10 proc., problem był więc marginalny. W 2005 roku wskaźnik rozwodów osiągnął 50 proc., do tego dziś 34 proc. dzieci rodzi się poza związkami małżeńskimi. Z logistycznego punktu widzenia prowadzi to do nowych okoliczności. Jeśli ojciec jest dla mnie jak przelatująca kometa i od piątych urodzin widuję go parę razy do roku, to mam mniejszą ochotę zajmować się nim, kiedy stanie się starszym panem, albo nawet odwiedzać go w domu opieki. To nie wina dzieci, ale także nie do końca rodziców.

Mówi Pani, że to nie do końca wina rodziców, ale przecież tym bardziej nie dzieci.

Pada czasami pod moim adresem pytanie: czy ja nienawidzę dzieci? Wręcz przeciwnie! Martwię się o nie! Nie jest moim celem oczernianie kogokolwiek, chodzi mi o zmianę na lepsze. Z powodu żądzy zysku, głupoty, wygodnictwa, czasami naiwności rodziców oraz presji, pod jaką znajdują się także instytucje edukacyjne i wychowawcze, znaleźliśmy się w

sytuacji kryzysowej. Mówię: proszę spojrzeć, dzieci same nam to mówią swoim trudnym zachowaniem.

Kiedy te dzieci dorosną, nie skończy się przecież wyłącznie na zerwaniu więzi z rodzicami.

Właśnie. Niektóre z takich osób aktywnie odwracają się od społeczeństwa. Nie chcą w żaden sposób partycypować w strukturach społecznych lub tylko w takim stopniu, w jakim to absolutnie konieczne. Nie zechcą płacić podatków, lecz cieszyć się życiem tu i teraz. Pracować tylko tyle, by zakwalifikować się na zasiłek. Oczywiście infrastruktura czy wywóz śmieci mają dalej funkcjonować, ale to już nie ich problem.

Inni z kolei popadają w zwątpienie, poszukują przywództwa, bo czują się zagubieni. Podejmują różne prace, ale nie w sensie budowania kariery w jakimś kierunku, są także podatni na polityczną bądź religijną radykalizację. W końcu spotkają kogoś, kto im powie, co jest słuszne i co należy zrobić. Brak orientacji w życiu to nic przyjemnego. Dlatego też jestem wściekła, moją książkę można traktować jako polemikę. Oczywiście na szczęście mamy też inną młodzież. Ilu musi jednak funkcjonować normalnie, by jako społeczeństwo holować tę resztę? W jakim momencie proporcje się zachwieją i nasz statek się przewróci? Czy w sytuacji ograniczonych zasobów i kryzysu demograficznego stanowiących i tak żywotne problemy, nie doprowadzi to do niebezpiecznego zaostrzenia nastrojów społecznych? Fakt, że dziś ludzie żyją dłużej i dłużej trzeba się o nich troszczyć, kosztuje krocie. Kto ma to finansować?

Co, Pani zdaniem, musi się teraz zdarzyć, żeby odmienić bieg wypadków?

Trzeba zdecydowanie spojrzeć prawdzie w oczy i nie narzekać. Mówienie, że przecież starsi od zawsze krytykowali młodych i to nic nowego, jest zaklinaniem rzeczywistości. Nie wolno jednocześnie zapowiadać nadejścia jakiegoś armagedonu. Musimy zwyczajnie zauważać, kiedy nasze dzieci wykazują zachowania świadczące o nieprzystosowaniu. Dziewięciolatek mający powtarzające się ataki wściekłości, podczas których rzuca się jak szalony po kanapie? Trzyletni królewicz mający za sobą już trzy zmiany przedszkola? Dziesięciolatek, który wciąż musi spać z rodzicami? W takich sytuacjach mamy obowiązek przyjąć odpowiedzialność i przestawić zwrotnice tak, by przygotować dzieci na przyszłość. Rodzice muszą ponownie wziąć na siebie ciężar wychowania, przejąć przywództwo. Wykorzystując przewagę doświadczenia, muszą stosownie do wieku dzieci stworzyć w ich życiu strukturę i wyznaczyć granice dla ich własnej ochrony. I nie jest to wcale powrót do autorytarnego modelu wychowawczego.

Dla mojego dziecka jestem autorytetem, ponieważ łączy nas uczucie miłości, ale też wiem, ile mogę wymagać od 12-latka. Być może inna matka wymaga od swojego 12-latka czegoś innego. Tak czy inaczej, drodzy rodzice, nie poddawajmy się do tego stopnia presji społeczeństwa konsumpcyjnego! Piknik w wolnym czasie jest znacznie tańszy niż wizyta w kinie całą rodziną, a ponadto daje znacznie więcej możliwości do komunikacji. Nie gódźmy się na ten cyrk nadmiernych wymagań! Nie muszę wcale natychmiast kupować kolejnego instrumentu muzycznego, kiedy tylko syn po kilku tygodniach przestał grać na poprzednim. Zaufajcie, że talent sam się objawi, a kiedy już to się stanie, pielęgnujcie go, ale konsekwentnie. Rodzice wcale nie mają obowiązku nieustannego zadowalania swych dzieci.

Mówi Pani, że przeciążeni rodzice produkują pokręcone dzieci.

Tak, ale tu wywołuję do tablicy także szkoły. Dziś szkoła jest ważniejsza niż kiedykolwiek, bo dziecko często spędza w niej cały dzień. Większość rodzin potrzebuje dwóch pensji, by utrzymać przyzwoity standard życia, więc szkoła przejmuje też funkcje opiekuńcze i wychowawcze. Tyle że w związku z tym należałoby teraz szkoły odpowiednio wyposażyć i przygotować.

Marzy mi się ponadto coś w rodzaju ministerstwa do spraw dzieci, które z punktu widzenia ich interesów sprawdzałoby wszystkie obszary społeczne – poczynając od współczesnych mediów, przez układ regałów w supermarketach, po reguły korzystania z internetu. Dla wielu rodziców byłoby to duże ułatwienie.